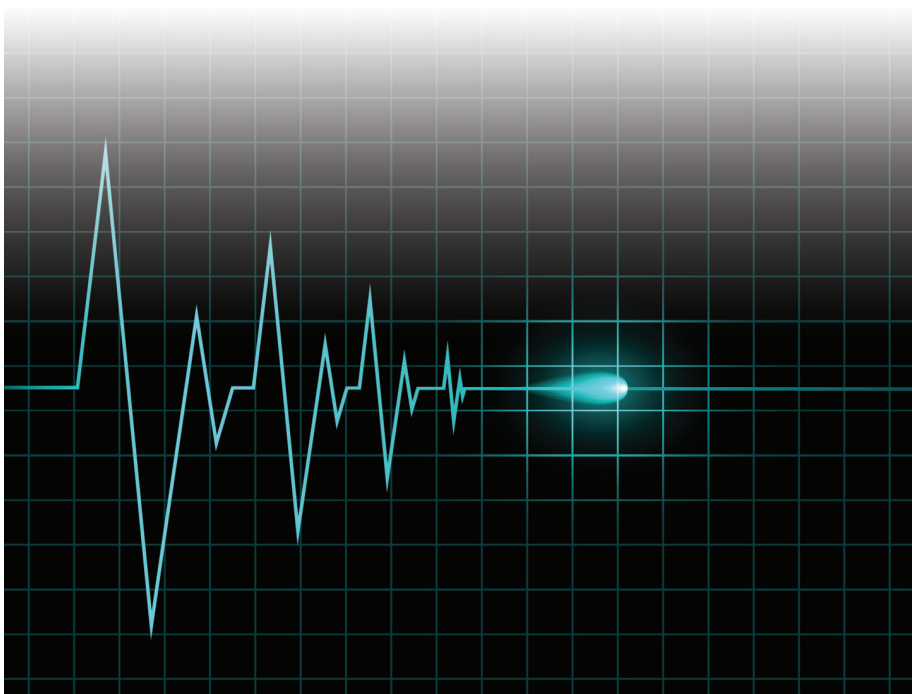


Kariera Tess Gerritsen zaczęła się od tej książki

TESS GERRITSEN

Dawca



Rozdział pierwszy

Był drobny jak na swój wiek, drobniejszy niż inni chłopcy, którzy żebrali w podziemnym przejściu na ulicy Arbatskaja, ale mając jedenaście lat, potrafił już wszystko. Od czterech lat palił papierosy, od ponad trzech kradł, a od dwóch lat sprzedawał się klientom. Tego ostatniego zajęcia nie lubił, ale kazał mu to robić wujek Misza. Skąd by inaczej brali pieniądze na chleb i papierosy? Jakow, jako najmniejszy i najbardziej jasnowłosy spośród wszystkich chłopców wujka Miszy, miał największe powodzenie. Klienci zawsze preferowali młodziutkich blondynów. Najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało, że Jakow nie ma lewej dłoni. Najczęściej w ogóle nie zauważali uschniętego kikuta jego ręki, byli zbyt oczarowani drobnym blondynkiem o błękitnych oczach.

Jakow bardzo chciał być duży i marzył o tym, by zostać kieszonkowcem, jak starsi chłopcy. Co rano, gdy budził się w mieszkaniu wujka Miszy, i każdego wieczoru, zanim zasnął, chwycił zdrową ręką za poręcz łóżka nad głową i rozciągał się, mając nadzieję, że przybędzie mu chociaż centymetr. Wujek Misza twierdził, że to bezcelowe. Według niego Jakow był niski, bo pochodził ze zdegenerowanej rodziny. Kobieta, która siedem lat wcześniej porzuciła go w Moskwie, też była karłowata. Jakow prawie jej nie pamiętał. Nie przypominał też

sobie niemal wcale, jak wyglądało jego życie, zanim znalazł się w mieście. Wiedział tylko tyle, ile usłyszał od wujka Miszy, i tylko w połowie w to wierzył. Mając zaledwie jedenaście lat, był drobny jak na swój wiek, ale bystry.

Z nieufnością przyglądał się więc teraz mężczyźnie i kobiecie, którzy załatwiali z wujkiem Miszą interesy przy stole w jadalni.

Przyjechali dużym czarnym samochodem z przyciemnionymi szybami. Mężczyzna, który nazywał się Gregor, miał na sobie garnitur i krawat oraz buty z prawdziwej skóry. Kobieta o jasnych włosach, Nadia, była ubrana w spódniczkę i garsonkę z delikatnej wełny. Trzymała w rękach małą walizeczkę. Nie była Rosjanką — wszyscy czterej obecni w mieszkaniu chłopcy natychmiast to spostrzegli. Mogła być Amerykanką albo Angielką. Mówiła po rosyjsku płynnie, ale z wyraźnym obcym akcentem.

Gdy obaj mężczyźni omawiali interesy przy wódce, kobieta rozejrzała się po małym mieszkaniu, popatrzyła na stojące pod ścianą stare wojskowe łóżka, sterty brudnej pościeli i czterech przytulonych do siebie, zalęknionych chłopców. Miała piękne jasnoszare oczy, którymi przypatrywała się po kolei każdemu z nich — najpierw najstarszemu z całej czwórki, piętnastoletniemu Pietii, a potem trzynastoletniemu Stiepanowi i dziesięcioletniemu Aleksiejowi.

Na koniec spojrzała na Jakowa.

Chłopiec przywykł do tego, że dorośli go oglądają, więc spokojnie patrzył jej w oczy. Nie był jednak przyzwyczajony do tego, że nie poświęcano mu większej uwagi. Zwykle dorośli nie interesowali się pozostałymi chłopcami. Tym razem jednak uwagę kobiety przyciągnął nie on, ale chudy i pryszczaty Pietia.

— Słusznie pan robi, Michaile Isajewiczu — powiedziała do Miszy. — Te dzieciaki nie mają tu przyszłości. A my możemy dać im wielką szansę — dodała i uśmiechnęła się do chłopców.

Stiepan wyszczerzył zęby jak zakochany idiota.

— Jest jednak pewien problem... żaden z nich nie mówi po

angielsku — zmartwił się wujek Misza. — Znają tylko pojedyncze słowa.

— Dzieci szybko się uczą.

— Ale powinny mieć na to czas. Żeby nauczyć się języka, przywyknąć do innego jedzenia...

— Nasza agencja wie, że muszą się zaadaptować. Pracujemy z wieloma dziećmi z Rosji, z sierotami takimi jak ci chłopcy. Przez kilka miesięcy będą przebywać w specjalnej szkole, żeby mieli czas się przystosować.

— A jeśli im się to nie uda?

Nadia milczała przez chwilę.

— Cóż, czasem zdarzają się wyjątki. Najczęściej dotyczy to dzieci z problemami emocjonalnymi. — Popatrzyła na chłopców. — Czy myśli pan o którymś z nich?

Jakow wiedział, że to właśnie on ma problemy, o których mówili. Rzadko się śmiał, nigdy nie płakał i wujek Misza nazywał go „chłopczykiem z kamienia”. Jakow nie wiedział, dlaczego nigdy nie płacze. Inni chłopcy, gdy spotkało ich coś złego, zalewali się łzami. A on po prostu się wyłączał. Jego umysł przypominał ekran telewizora, który późną nocą, gdy kończy się program, po prostu robi się biały. Nie ma na nim nic, żadnego obrazu, tylko drgające białe kropki.

— To wspaniali chłopcy — powiedział wujek Misza. — Wszyscy czterej.

Jakow spojrział na pozostałą trójkę. Piotr miał wystającą szczękę i pochylone do przodu ramiona, co upodabniało go do goryla. Uszy Stiepana były dziwnie małe i pomarszczone, a między nimi tkwił mózg wielkości orzecha. Aleksiej ciągle ssał kciuk.

A ja, pomyślał Jakow, patrząc na swój kikut, mam tylko jedną rękę. Dlaczego mówią, że jesteśmy wspaniali? Ale wujek Misza właśnie tak twierdził, a kobieta kiwała głową. Byli dobrymi, zdrowymi chłopcami.

— Mają nawet zdrowe zęby! — oświadczył Misza. — I spójrzcie, jaki mój Piotr jest wysoki.

— Tamten wygląda na niedożywionego — mruknął Gregor, wskazując Jakowa. — W jaki sposób stracił rękę?

— Taki się urodził, ale poza tym jest całkiem normalny. Brak mu tylko dłoni.

— To nie powinno stanowić problemu — stwierdziła Nadia i wstała z krzesła. — Musimy jechać. Już pora.

— Tak szybko?

— Mamy swój harmonogram.

— Ale... ich ubrania...

— Agencja zapewni im odzież. Lepszą, niż mają teraz.

— Tak szybko? — powtórzył wujek Misza. — Nie będziemy mieli nawet czasu na to, by się pożegnać?

W oczach kobiety pojawił się cień rozdrażnienia.

— Macie tylko chwilę. Nie możemy się spóźnić.

Wujek Misza spojrział na swoich chłopców, swoich czterech chłopców, związanych z nim nie pokrewieństwem ani nawet uczuciami, lecz wzajemną zależnością. Tym, że siebie potrzebowali. Obejmował każdego z nich po kolei. Jakowa ściszał nieco dłużej i nieco mocniej. Pachniał znajomo cebulą i papierosami. Były to swojskie zapachy, ale Jakow zawsze unikał bliskiego kontaktu. Nie lubił, by ktokolwiek go obejmował lub dotykał.

— Nie zapomnij o swoim wujku — szepnął Misza. — Kiedy wzbogacisz się w tej Ameryce, pamiętaj, że o ciebie dbałem.

— Nie chcę jechać do Ameryki — burknął Jakow.

— To dla twojego dobra. Dla dobra was wszystkich.

— Chcę zostać z tobą, wujku. Chcę być tutaj.

— Musisz jechać.

— Dlaczego?

— Bo tak postanowiłem. — Wujek Misza chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. — Tak postanowiłem.

Jakow spojrział na pozostałych chłopców, którzy uśmiechali się radośnie, i pomyślał: oni są szczęśliwi. Dlaczego tylko ja mam wątpliwości?

Kobieta wzięła Jakowa za rękę.

— Zaprowadzę ich do samochodu, a Gregor dokończy formalności.

— Wujku! — zawołał Jakow.

Ale Misza odwrócił się już i spoglądał w okno.

Nadia wyprowadziła czwórkę chłopców na korytarz i zesłała z nimi po schodach. Stukanie ich butów i odgłosy rozsadzającej ich energii rozbrzmiewały głośnym echem w pustej klatce schodowej.

Byli już na parterze, gdy Aleksiej nagle się zatrzymał.

— Zaczekajcie! Zapomniałem wziąć Szu-Szu! — krzyknął i ruszył z powrotem na górę.

— Wracaj! — zawołała Nadia. — Nie wolno ci tam wchodzić!

— Nie mogę go zostawić! — wrzasnął Aleksiej.

— Natychmiast wracaj!

Aleksiej dalej pędził po schodach. Pietia wzruszył ramionami i powiedział:

— On nie pojedzie bez Szu-Szu.

— Kto to jest Szu-Szu, do diabła?

— Pluszowy pies. Ma go od zawsze.

Kobieta spojrzała na schody prowadzące na trzecie piętro i w tym momencie Jakow dostrzegł w jej oczach coś dziwnego.

Niepokój.

Wyglądała, jakby za chwilę miała stracić Aleksieja. Kiedy chłopiec zbiegł z powrotem po schodach, trzymając w objęciach swojego wystrzępionego Szu-Szu, z wyraźną ulgą oparła się plecami o poręcz.

— Mam go! — zawołał z triumfem Aleksiej, tuląc do siebie pluszowego zwierzaka.

— Pospieszcie się! — powiedziała kobieta, wyprowadzając ich na zewnątrz.

Czterej chłopcy wpełchnęli się na tylne siedzenie samochodu. Nie mieścili się na nim i Jakow musiał usiąść Pietii na kolanach.

— Nie możesz zabrać ze mnie swojego kościstego tyłka? — burknął Pietia.

— Wolisz go mieć na twarzy? — odparował Jakow.

Pietia szturchnął go łokciem, a Jakow natychmiast mu się zrewanżował.

— Przestańcie! — odezwała się z przedniego siedzenia kobieta.

— Ale tu jest za ciasno — poskarżył się Pietia.

— Musicie sobie jakoś poradzić. I zachowujcie się ciszej — powiedziała kobieta i spojrzała w okna mieszkania Miszy.

— Na co czekamy? — spytał Aleksiej.

— Na Gregora, który podpisuje papiery.

— Ile to potrwa?

Kobieta oparła się plecami o fotel.

— Niedługo — odparła.

□ □ □

Niewiele brakowało, pomyślał Gregor, gdy Aleksiej wyszedł po raz drugi z mieszkania, zatrzasnął za sobą drzwi. Gdyby ten gówniarz zjawił się chwilę później, byłaby wpadka. Co ta kretynka wyprawia, czemu pozwoliła smarkaczowi wrócić na górę? Od początku był przeciwny temu, żeby ją do tego włączać. Ale Reuben uważał, że potrzebna im kobieta, bo kobietom ludzie bardziej ufają.

Odgłos kroków chłopca ucichł na klatce schodowej, a potem rozległ się łoskot zamykanych frontowych drzwi.

Gregor odwrócił się do sutenera.

Misza stał przy oknie, patrząc w dół na ulicę, na samochód, w którym siedzieli jego czterej chłopcy. Przytknął dłoń do szyby w geście pożegnania. Kiedy spojrział na Gregora, miał oczy zamglone łzami.

Ale jego pierwsze słowa dotyczyły pieniędzy.

— Są w walizce?

— Tak — odparł Gregor.

— Cała suma?

— Dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów. Pięć tysięcy za każdego dzieciaka. Na taką cenę się zgodziłeś.

— Tak. — Misza westchnął i przeciągnął dłonią po pobrużdżonej, przedwcześnie postarzałej twarzy. Był to niewątpliwie efekt zbyt dużej ilości wódki i zbyt wielu papierosów. — Na pewno trafią do odpowiednich rodzin?

— Nadia się tym zajmie. Kocha dzieci. Dlatego wybrała tę pracę.

Misza zdobył się na słaby uśmiech.

— Może znalazłaby też jakąś amerykańską rodzinę dla mnie...

Gregor wskazał walizeczkę, która leżała na stoliku.

— Sprawdź, jeśli chcesz.

Misza podszedł do walizeczki i otworzył zatrask. Wewnątrz były starannie ułożone pliki amerykańskich banknotów. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Będzie mógł kupić za nie wystarczającą ilość wódki, by zrujnować sobie wątrobę.

Jak niewiele kosztuje dziś ludzka dusza, pomyślał Gregor. Na ulicach nowej Rosji można było kupić wszystko. Skrzynkę izraelskich pomarańczy, amerykański telewizor, rozkosze kobiecego ciała. Wszędzie istniały możliwości dla tych, którzy potrafili z nich korzystać.

Misza wpatrywał się w pieniądze, ale zamiast zadowolenia czuł odrazę do samego siebie. Zamknął walizeczkę i stał ze spuszczoną głową, z dłońmi na twardym czarnym plastiku.

Gregor podszedł do niego od tyłu, uniósł lufę pistoletu z tłumikiem i strzelił dwa razy w jego łysiejącą potylicę.

Krew i mózg obryzgały ścianę. Misza zwałił się na podłogę, przewracając stół. Walizeczka upadła na dywan obok niego.

Gregor chwycił ją szybko, by nie zalała jej krew. Była zabrudzona z boku mózgiem Rosjanina. Poszedł do łazienki, wytarł plastik papierem toaletowym i spuścił wodę. Gdy wrócił do pokoju, w którym leżał Misza, kałuża krwi rozlała się już po podłodze i wsiąkała w dywan.

Gregor rozejrzał się wokół, by się upewnić, czy zrobił wszystko jak należy i nie pozostawił żadnych śladów. Kusilo go, żeby wziąć także stojącą na oknie butelkę wódki, ale się

powstrzymał. Musiałby tłumaczyć, dlaczego ją zabrał Miszy, a nie miał cierpliwości odpowiadać na pytania dzieciaków. To było zadanie Nadii.

Opuścił mieszkanie i zszedł na dół.

Nadia i jej podopieczni czekali w samochodzie. Rzuciła mu pytające spojrzenie, gdy siadał za kierownicą.

— Wszystkie papiery podpisane?

— Tak. Wszystkie.

Usiadła wygodnie, oddychając z wyraźną ulgą. Za bardzo się denerwuje, pomyślał Gregor, uruchamiając silnik. Bez względu na to, co sądził Reuben, kobieta była balastem.

Z tylnego siedzenia dochodziły odgłosy przepychanki. Gregor zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył, że chłopcy ciągle się szturchają. Wszyscy, z wyjątkiem najmniejszego, Jakowa, który w milczeniu patrzył przed siebie. Ich spojrzenia zetknęły się w lusterku i Gregor odniósł wrażenie, że z tej dziecinnej twarzy spoglądają na niego oczy dorosłego człowieka.

Nagle chłopiec odwrócił się i uderzył w ramię swojego sąsiada. Tylnie siedzenie w jednej chwili zamieniło się w kłębowisko splecionych ciał i kończyn.

— Zachowujcie się jak należy! — krzyknęła Nadia. — Nie możecie siedzieć cicho? Przed nami długa droga do Rygi.

Jej podopieczni się uspokoili i na tylnym siedzeniu zapanowała cisza. Ale po chwili Gregor zobaczył we wstecznym lusterku, że mały chłopiec z oczami jak u dorosłego znów szturcha łokciem swojego sąsiada.

Uśmiechnął się do siebie. Nie ma powodu się martwić, pomyślał. To w końcu tylko dzieci.

Rozdział drugi

Była północ i Karen Terrio oczy same się zamykały. Walczyła z sennością, by nie stracić kontroli nad kierownicą. Prowadziła samochód prawie od dwóch dni. Wyruszyła w drogę zaraz po pogrzebie ciotki Dorothy i zatrzymywała się tylko na krótką drzemkę lub hamburgera i kawę. Wypiła mnóstwo kawy. Z pogrzebu pozostały jej w pamięci jedynie zamglone obrazy. Wiedzące gladiole. Nieznani kuzyni. Czerstwe tartinki. I to, co jeszcze musi zrobić. Było tego cholernie dużo.

Jednak teraz chciała tylko dotrzeć do domu.

Wiedziała, że powinna znów się zatrzymać i spróbować trochę się zdrzemnąć, zanim pojedzie dalej, ale była już tak blisko — zaledwie siedemdziesiąt parę kilometrów od Bostonu. W ostatnim barze Dunkin Donuts wlała w siebie trzy filiżanki kawy, co dało jej dość energii, by dojechać ze Springfield do Sturbridge. Teraz jednak kofeina przestawała działać i choć Karen myślała, że jest przytomna, co jakiś czas głowa jej opadała, a oczy same się zamykały.

Z mroku wyłonił się znak Burger Kinga. Zjechała z autostrady.

Zamówiwszy kawę i babeczkę z jagodami, usiadła przy stole. O tej porze na sali było tylko kilku klientów. Wszyscy mieli równie zmęczone twarze. Widma autostrady, pomyślała

Karen. Udręczone dusze, które straszyły w każdym przydrożnym barze. Wokół panowała dziwna cisza. Wszyscy koncentrowali się tylko na tym, by nie zasnąć i móc ruszyć w dalszą drogę.

Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta z dwójką małych dzieci, które spokojnie jadły ciasteczka. Na widok tych grzecznych jasnowłosych malców Karen pomyślała o swoich córeczkach. Jutro mają urodziny. Już tylko ta noc dzieli je od ukończenia trzynastu lat.

Kiedy się obudzicie, pomyślała, będę już w domu.

Ponownie napełniła kubek kawą, zamknęła go plastikową pokrywką i poszła do samochodu.

Senność ją opuściła. Da radę. Godzina jazdy, siedemdziesiąt kilometrów i znajdzie się przed swoim domem. Włączyła silnik i wyjechała z parkingu.

Siedemdziesiąt kilometrów, pomyślała. Tylko siedemdziesiąt kilometrów.

□ □ □

Trzydzieści kilometrów dalej Vince Lawry i Chuck Servis, siedząc w samochodzie zaparkowanym za restauracją 7-Eleven, kończyli ostatni sześciopak piwa. Pili już od czterech godzin. Chodziło o to, który z nich potrafi wlać w siebie więcej i nie przygać się. Chuck był o jedną puszkę lepszy. Stracili już rachubę, ile w sumie wypili. Dowiedzą się tego rano, gdy policzą puste puszkę na tylnym siedzeniu.

Ale kiedy Chuck zaczął wygrywać i chełpić się tym, wkurzyło to Vince'a, bo uważał, że kumpel nie gra uczciwie. Gotów był na jeszcze jedną rundkę, ale skończyło im się piwo, i Chuck uśmiechał się cynicznie, chociaż wiedział, że gra nie fair.

Vince pchnął drzwiczki samochodu i wygramolił się z za kierownicy.

- Dokąd idziesz? — spytał Chuck.
- Przyniosę jeszcze piwa.
- Więcej już nie dasz rady wypić.

— Pieprz się! — warknął Vince i chwiejnym krokiem ruszył przez parking w stronę drzwi restauracji.

Chuck zaśmiał się.

— Nie możesz nawet iść! — krzyknął przez okno samochodu.

Dupek, pomyślał Vince. Przecież idzie, kurwa. Wejdzie do 7-Eleven i kupi jeszcze dwa sześciopaki. Albo trzy. Jasne, mogą być nawet trzy. Ma żołądek z żelaza i poza tym, że musi sikać co parę minut, piwo wcale mu nie szkodzi.

Potknął się w drzwiach i upadł na kolana — cholera, za taki wysoki próg powinno się ich zaskarżyć! — ale zaraz się podniósł. Wyjął z lodówki trzy sześciopaki i słaniając się na nogach, podszedł do kasy. Rzucił na ladę dwudziestodolarowy banknot.

Sprzedawca spojrział na pieniądze i pokręcił głową.

— Nie mogę pana obsłużyć.

— Jak to?

— Nie mogę sprzedawać piwa nietrzeźwym klientom.

— Twierdzi pan, że jestem pijany?

— Właśnie.

— Płacę, prawda? Nie chce pan moich pieprzonych pieniędzy?

— Nie chcę odpowiadać przed sądem. Odstaw to piwo z powrotem, synu, dobrze? Najlepiej kup sobie kawę albo coś innego. Może hot doga.

— Nie potrzebuję żadnego pieprzonego hot doga.

— Więc po prostu stąd wyjdź, chłopcze. I to zaraz.

Vince zepchnął jeden z sześciopaków z lady. Puszki z łoskotem upadły na podłogę. Miał zamiar stracić także drugi, ale sprzedawca wyciągnął broń.

— Wynoś się, do cholery — powiedział.

— W porządku — wymamrotał Vince i cofnął się, podnosząc ręce.

Wychodząc, znowu potknął się na progu.

— Nic nie kupiłeś? — spytał Chuck, gdy kumpel z powrotem wgramolił się do wozu.

— Skończyło im się piwo.
— Niemożliwe.
— Mówię przecież, że się skończyło — warknął Vince.
Uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu. Ruszyli ostro z parkingu.
— Dokąd teraz jedziemy? — spytał Chuck.
— Znajdziemy inny sklep. — Vince wpatrywał się w mrok, mrużąc oczy. — Gdzie jest wjazd na autostradę? Musi tu gdzieś być.
— Człowieku, daj spokój. Jeśli wlejesz w siebie jeszcze jedno piwo, porzygasz się.
— Gdzie ten pieprzony wjazd?
— Chyba go minąłeś.
— Nie, jest tutaj — odparł Vince i z piskiem opon skręcił w lewo.
— Hej! — powiedział Chuck. — Chyba...
— Zostało mi jeszcze dwadzieścia dolicz. Ktoś je przecież weźmie.
— Vince, jedziesz w złym kierunku!
— Co?
— Jedziesz pod prąd! — krzyknął Chuck.
Vince potrząsnął głową i próbował skoncentrować się na drodze, ale światła reflektorów były zbyt jasne i raziły go w oczy. Świeciły coraz mocniej.
— Skręć w prawo! — wrzasnął Chuck. — To samochód! Skręcaj!
Vince skręcił w prawo.
Światła reflektorów również.
Usłyszał przeraźliwy krzyk. Nie był to jednak krzyk Chucka, lecz jego własny.

□ □ □

Doktor Abby DiMatteo była zmęczona jak jeszcze nigdy w życiu. Nie spała od dwudziestu dziewięciu godzin, jeśli nie liczyć dziesięciominutowej drzemki w poczekalni rentgena,

i wiedziała, że to po niej widać. Kiedy, myjąc ręce w umywalce na oddziale intensywnej terapii, zerknęła w lustro, zobaczyła swoje podkrążone oczy i czarne potargane włosy z oklapniętą grzywką. Była już dziesiąta rano, a ona nie wzięła jeszcze prysznicza ani nawet nie umyła zębów. Na śniadanie zjadła jajko na twardo i wypła słodką kawę, którą godzinę temu przyniosła jej pielęgniarka z chirurgii. Będzie miała szczęście, jeśli znajdzie czas na lunch. A będzie miała jeszcze większe szczęście, gdy uda jej się wyjść ze szpitala o piątej i dotrzeć na szóstą do domu. Teraz jednak marzyła tylko o tym, by choć na chwilę opaść na krzesło.

Ale podczas porannego poniedziałkowego obchodu nikomu to się nie mogło udać. Zwłaszcza gdy brał w nim udział doktor Colin Wettig, szef stażystów na oddziale chirurgii w Bayside Hospital. Doktor Wettig, emerytowany generał, znany był z podchwytliwych, bezlitosnych pytań i Abby potwornie się go bała. Podobnie jak wszyscy inni stażyści.

Jedenaścioro z nich stało teraz półkolem na oddziale intensywnej terapii, w białych fartuchach i zielonych operacyjnych uniformach. Wszyscy wpatrywali się w Wettiga. Wiedzieli, że w każdej chwili może ich zaskoczyć jakimś pytaniem. Kto nie potrafił na nie odpowiedzieć, poddawany był długotrwałemu, upokarzającemu egzaminowi.

Odowiedzili już czterech pacjentów, którzy niedawno przeszli operacje, i teraz zebrali się przy łóżku numer jedenaście. Była to nowa pacjentka Abby. Przypadek, który musiała przedstawić generałowi.

Miała ze sobą notatki, ale do nich nie zaglądała. Patrząc na poważną twarz doktora Wettiga, zaczęła mówić:

— Pacjentka jest trzydziestoczteroletnią białą kobietą. Została przyjęta o pierwszej w nocy. Jej samochód zderzył się czołowo przy dużej prędkości z innym pojazdem na autostradzie numer dziewięćdziesiąt. Na miejscu wypadku pacjentkę zaintubowano i w stanie stabilnym dostarczono do nas śmigłowcem. Po przyjęciu jej na ostry dyżur stwierdzono rozległe

urazy. Liczne wgniecenia czaszki, złamanie lewego obojczyka i ramienia oraz poważne rany twarzy. Wstępne badanie wykazało, że jest dobrze odżywną kobietą średniej budowy. Nie reaguje na żadne bodźce, jeśli nie liczyć wątpliwej reakcji mięśni prostujących...

— Wątpliwej? — powtórzył doktor Wettig. — Co pani przez to rozumie? Czy mięśnie reagowały, czy nie?

Abby czuła, jak wali jej serce. Cholera, już się do niej przyczepił. Przełknęła ślinę i wyjaśniła:

— Czasem kończyny pacjentki prostowały się pod wpływem bodźca bólowego, a czasem nie.

— Jak pani myśli, ile to będzie w skali Glasgow, określającej odruchy pacjentów w stanie śpiączki?

— Cóż, ponieważ brak reakcji to jeden punkt, a wyprost mięśni dwa, sądzę, że tej pacjentce można dać... półtora.

Kilku stażystów zaśmiało się niepewnie.

— Nie ma takiej punktacji — oświadczył doktor Wettig.

— Wiem o tym — odparła Abby. — Ale reakcje tej pacjentki nie odpowiadają...

— Proszę kontynuować raport — przerwał jej Wettig.

Abby spojrzała na wpatrzone w nią twarze. Czyżby zdążyła już spieprzyć sprawę? Nie była tego pewna. Zaczepnęła powietrza i podjęła:

— Pacjentka miała ciśnienie dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt i tętno sto. Nie oddychała samodzielnie, podłączono ją do respiratora. Dwadzieścia pięć oddechów na minutę.

— Dlaczego wybrano taką częstotliwość?

— Żeby zapewnić hiperwentylację płuc.

— W jakim celu?

— Aby obniżyć poziom dwutlenku węgla we krwi. To zmniejsza obrzęk mózgu.

— Proszę mówić dalej.

— Badanie głowy, jak wspomniałam, wykazało rozległe wgniecenia czaszki po lewej stronie, w okolicach kości ciemieniowej i skroniowej. Silne obrzmienia i rany twarzy utrudniały

diagnozowanie złamań. Źrenice były w pozycji centralnej i nie reagowały na bodźce. Nos i gardło...

— Odruchy oczno-mózgowe?

— Nie badałam ich.

— Nie?

— Nie, panie doktorze. Nie chciałam poruszać szyi. Obawiałam się uszkodzenia kręgosłupa.

Wettig lekko kiwnął głową, akceptując jej odpowiedź.

Opisała następnie stan narządów pacjentki. Zdrowe płuca i serce, żołądek również w porządku. Doktor Wettig nie przerywał jej. Gdy skończyła omawiać wyniki badań neurologicznych, czuła się znacznie pewniej — niemal triumfowała. A dlaczego nie? Przecież dobrze wiedziała, co robi.

— Co pani podejrzewała przed obejrzeniem zdjęć rentgenowskich? — spytał doktor Wettig.

— Zważywszy na pozycję źrenic i brak ich reakcji na bodźce — powiedziała Abby — przypuszczałam, że doszło do ucisku mózgu. Najprawdopodobniej z powodu silnego krwawienia podtwardówkowego lub nadtwardówkowego. — Przerwała na chwilę, po czym dodała ze spokojną pewnością siebie: — Tomografia to potwierdziła. Duży podoponowy krwiak po lewej stronie. Konieczny był zabieg neurochirurgiczny. Dokonano operacyjnego usunięcia skrzepu.

— Zatem pani wstępne przypuszczenia okazały się słuszne?

Kiwnęła głową.

— Zobaczmy, jak mają się sprawy dzisiaj — mruknął doktor Wettig, podchodząc do łóżka pacjentki i świecąc jej miniaturową latarką w oczy. — Źrenice nie reagują — stwierdził. Mocno przycisnął knykię do mostka pacjentki. — Nie ma reakcji na ból. Ani ze strony mięśni prostujących, ani żadnych innych.

Stażyści przysunęli się bliżej, ale Abby pozostała w nogach łóżka, wpatrując się w obandażowaną głowę kobiety. Gdy Wettig kontynuował badanie, opukując jej ścięgna gumowym młoteczką, zginając łokcie i kolana, Abby przyglądała się ogolonej głowie pacjentki. Pamiętała, że kobieta miała gęste

ciemne włosy, pokryte zakrzepłą krwią i odłamkami szkła. Szkło powbijało się również w jej ubraniu. Abby pomagała rozcinać jej jedwabną, niebiesko-białą bluzkę z metką Donny Karan. Ten szczegół najbardziej utkwił jej w pamięci. Nie krew, złamane kości czy poraniona twarz, tylko ta metka. Donna Karan. Marka, którą sama chętnie kupowała. Ta kobieta też kiedyś stała w jakimś sklepie, oglądając bluzki, słysząc skrzypienie przesuwanych po przęcie wieszaków...

Doktor Wettig wyprostował się i spojrzał na pielęgniarkę z oddziału intensywnej terapii.

— Kiedy usunięto krwiak? — zapytał.

— Wróciła z sali pooperacyjnej około czwartej nad ranem.

— Sześć godzin temu?

— Tak, mniej więcej.

Wettig zwrócił się do Abby.

— Więc dlaczego nic się nie zmieniło?

Abby ocknęła się z zamyślenia i zobaczyła, że wszyscy jej się przyglądają. Spojrzała na pacjentkę. Widziała, jak jej klatka piersiowa na przemian unosi się i opada, poruszana aparaturą.

— Mógł wystąpić obrzęk pooperacyjny — odparła, patrząc na monitor. — Ciśnienie wewnątrzczaszkowe jest nieco podwyższone. Dwadzieścia milimetrów.

— Sądzi pani, że jest dość wysokie, by powodować brak reakcji źrenic?

— Nie, ale...

— Badała ją pani zaraz po operacji?

— Nie, panie doktorze. Przewieziono ją na oddział neurochirurgii. Rozmawiałam po operacji z ich stażystą i powiedział mi...

— Nie pytam o jego opinię, ale o pani, doktor DiMatteo. Stwierdziła pani krwotok podoponowy. Został zlikwidowany. Więc dlaczego sześć godzin po operacji źrenice pacjentki nadal są w centralnej pozycji, a jej mięśnie nie reagują na bodźce?